

Kronika

tygodniowa

„Wsi spokojna wsi wesola,
Ciebie wielbię pod niebiosami
Rano spędzam muchy z czoła
Wieczór spędzam muchy z nosa.
Ze swobodą niezrównaną
Dni i noce mile cieką
Mieko kwaśne pijam rano,
Wieczór pijam kwaśne mieko...”

Tak śpiewał swojego czasu natchniony poeta, opiewając przyjemności wiejskiego życia, a choć można było w jego słowach wyczuć skargę, że owoce mleka kwaśnego było za dużo, a zamiast południowej obławy ma stale gospodyni jajecznicę, lub jajka na miękko albo twardo, widocznie nie było tak źle, skoro pobyt na wsi nie wpłynął bynajmniej ujemnie na jego natchnienie.

Tak samo wyobrażał sobie kronikarz „sielskie-anielekie” usposobienie Weroniki, otrzymawszy od niej pierwszy list z pod Koziego Ogona. Wysłała go, jak pisze, najajutrz po przybyciu na miejsce i zaistnieniu się w posiadłość pana Jana Paskuły, doszedł on do Krakowa po tygodniu, choć w powietrznej linii jest między tą miejscowością a Krakowem niespełna dziesięć mil. Widocznie jednak poczta wychodzi z założenia, że skoro opłata od listów jest tak wysoka, powinny one odpowiednio długo podróżować, nim dojdą na miejsce przeznaczenia. W liście tym nie ma Weronika poprostu słów na skreślenie swego zachwytu i radości.

— Teraz dopiero czuję, że odtąd — pisze między innymi — Co za okolica, jaka pogoda, jak miły i pocieśny ten nasz lud!... Śniąc mi się chce, gdy sobie wspominam co słyszałam w Krakowie o nieuczynności i zdradzieństwie, jakiego się dopuszczają wobec letników wieśniacy. To wszystko bajka, to nieczne oszczerstwo na nasz pocieśny lud wiejski. Zaraz pierwszego dnia po przyjeździe, gdy u mojej gospodyni bawiła celem niożenia się o wysokość czynszu za mieszkanie, pani Paskudzińska przyjęła mnie nader serdecznie. Małżonek jej jako mąż zaufania stronictwa, jest stale w rozjazdach, lub bawi we Warszawie, gospodarstwem zajmuje się ona sama. Poczęstowała nas mlekiem, ale nie takim, jakie się w Krakowie kupuje i wyborną butką domowej roboty, a gdy chciałam jej za to zapłacić, aby biednych ludzi nie narażać na stratę, odpowiedziała z niedbalym gestem: „Schowajcie sobie swoje pieniądze, mamy ich dosyć i nawet nie wiemy co z nimi robić. Głupstwo ta odrobina mleka, jutro się doleje kapkę wody więcej niż zwykle, i nie będzie nijakiej straty. Mamy pełną skrzynię marek i czekamy lno na tę parcelację, którą Witos obiecał. Mój chciałby wtedy kupić kawał księczego pola, który graniczy z naszym gruntem, ale ja wolalabym, abyśmy nabyli dwór, bo ja chcę być dziedziczką”. Ogromnie jej było do twarzy z tem uniesieniem, z jakim wypowiedziała te słowa, czuć było, że przemawia jej serce i dusza... Za mieszkanie zażądała początkowo siedmudziesiąt tysięcy za sezon, twierdząc, że trafiał się jej już lokator, który tyle dawał, ale się nie zgodził, gdyż się jej nie podobał. Ostatecznie zdecydowała się pociągnąć na pięćdziesiąt tysięcy, które jej wręczyłam. Wieczorem zaprosiłam ją na herbatę, przybyła z córką, ale obie były widocznie niezbyt zadowolone z tego, że nie było araku, a zamiast cukru sacharyna. Dalsz rano byliśmy w X... Karacynusów mnóstwo, nikogo jednak ze znajomych nie udało się nam spotkać. At się cieszę na samą myśl, jak mile przyjdzie nam tu spędzić chwilę i jak to dodatnie wpłynie na nasze zdrowie...

Kronikarzowi, gdy to czytał, spadł kamień z serca i zaczął żałować, że i on także nie dał się namówić na wyjazd. Niestety, w dwa dni potem nadszedł drugi list, ale już w zupełnie innym tonie. Z charakteru pisma wnosić można było, że Weronika, kreśląc go, była ogromnie podrażniona, treść potwierdzała przypuszczenie. Oto, co pisała:

— Dłutej tu już nie wytrzymam!... To o pomstę do nieba wołające, jak się ten lud wiejski obchodzi z nami, którzy mu zwozimy pieniądze i chcemy z nim żyć prawdziwie po bratersku. Wyobraź sobie, wczoraj chciałam po południu wypocząć w ogródku, znajdującym się przed domem gospodarzy, Paskudzińska zabroniła mi, utrzymując, że zapłaciłam tylko za używanie mieszkania, a nie ogrodu, a trzeba Ci wiedzieć, że okna naszego pokoju wychodzą na podwórze, na chlewiki i gnojówkę, nie mamy więc ani żadnego widoku, ani powietrza. Za litr mleka żąda pięćdziesiąt marek, a za jajko piętnaście, gdy u niej zaś zwróciła uwagę, że w Krakowie nawet u przekupki dostaje się taniej te artykuły,

odpowiedziała z widoczną irytacją: „To se pan! jedź do Krakowa z powrotem... A ktoś tu panią zaprasza?... My się tu bez was obejdzimy. Nie bądźcie jedni, znajdzie się druga, co jeszcze w rękę pocina, jeżeli się jej wynajmie mieszkanie i coś sprzeda. Przyjeżdżacie tu, aby nas obłudzić... Kto chce żreć, niech płaci, a kto niema pieniędzy niech nie wozi swego grzesznego cielska po świeżem powietrzu, ale siedzi w Krakowie... Zamknęła nam też studnię i każe osobno dopłacać po pięć marek za konewkę wody, twierdząc, że jeszcze robi dobrodziejstwo, bo jeśli jej doleje do mleka, więcej za nią dostanie...”

Po przeczytaniu tego listu żal się kronikarzowi zrobiło, może nie tyle Weroniki, ile owych sta tyłacy, których zdobycie tyle go trudów i bieżaniny kosztowało, w duszy jednak cieszył się z tego, gdyż podobne przyjemności, połączone z letnim pobytem, może raz na zawsze, a w każdym razie na długo wybiją jej z głowy myśli i ochotę do urządzania wakacyjnych wycieczek. Dziękował też Pani Bogu, że został w Krakowie, choć znając dobrze Weronikę przypuszczał, że tak źle, jak ona to przedstawia, chyba nie jest. Wrażliwa kobieta maluje sobie wszystko w daleko ciemniejszych kolorach, niż one są rzeczywistością i nie może się pogodzić z drobnymi przykrościami, na jakie musi się być przecieć w czasie pobytu na wsi narażonym.

Ale widocznie Weronika nie przejęskrawiała się tym razem, choć bardzo to lub, gdyż w dzień później nadszedł lakoniczny telegram: „Wracamy w sobotę. Czekać na dworcu”.

— Masz babo radnie!... — mrknął do siebie i westchnął gorąco, jak gdyby żalując, że nie z jego wakacyjnego wypoczynku, który miał także dodatnio wpłynąć na jego zdrowie.

Ponieważ od soboty oddzielały już tylko trzy dni, zabrał się do uporządkowania mieszkania w myśl ostatniego rozkazu małżonki, rzucanego mu z okna wagonu na odjeżdżającym i z poddaniem się swemu garbatemu losowi oczekiwał na powrót kochanej rodziny, łudząc się nadzieją w duszy, że może jakiś cadowy wypadek wpłynie na zmianę postanowienia i zatrzyma się na miejscu. Niestety, o cudy dziś trudno, w sobotę, jak zapowiedziała wróciła też Weronika pod dach rodzinny i na łono małżonki, straconego nie tyle jej długiem oczekiwaniem, ile raczej jej zbyt rychłym powrotem.

Pierwszy tydzień po przybyciu spędziła Weronika w łóżku, musiała się wezwać lekarza, aby ratował jej zdrowie, ten zapisał brom i krople laurkowe na uspokojenie nerwów, a w księdze domowych rozchodów zanotowano nowy wydatek w kwocie siedmiu tysięcy osiemset marek pod tytułem: „dalsza restauracja zdrowia Weroniki”.

I doszedł do przekonania kronikarz, że połowica jest mu „droższą” znowu o siedmiu tysięcy osiemset marek, ale w duszy dodał, że, jeśli tak dalej iść miało w tem temple, nie pozostało mu nic innego, jak „słodką śmierć”, to jest powieszenie się z powodu nadmiaru rozkoszy małżeńskich na przedwojennym sznurku z cukru.

Gdy Weronika powróciła już na tyle do zdrowia, że mogła się należycie wygadać, przez dwanaście godzin z rzędu opowiadała o kłopotach i zmartwieniach, jakie na wsi stały się jej udziałem, a rzecz prosta, że wszystko skrupiło się na koście ofiarnym, którym był małżonek.

— Tyś temu winien! — mówiła — Jako mężczyzna powinność był odradzić...

— W jakim sposób? — brzmiała odpowiedź — Bratem wprowadziłam udział w radzie rodzinnej lecz bez prawa zabierania głosu... Pretensje miej do swojej cioci i do pani Gadulskiej i Bujarskiej... Niechaj one zwróć ci zdrowie, mnie zaś pieniądze, które dyabli wzięli bez żadnego pożytku...

Przekonała się zatem Weronika, że bynajmniej nie przesadziła ci, którzy pomawiali nasz lud wiejski o chciwość, bezwzględność, sobkowsko i nieufność wobec surdatowców. W dawniejszych czasach wieśniak odnosił się zawsze nieżyczliwie do dziedzica, co można było wytłómaczyć wspomnieniem nie tak dawnej pańszczyzny. Nieżyczliwość ta była jednak najczęściej nie uzasadniona, a wszelkie starania ze strony dworu o jej zwalczanie rozbiły się stale o upór chłopski, posiadający „panów”, że chcą znowu zaprowadzić dawne stosunki. Wszelkie dobrodziejstwa ze strony dworu przyjmowała wieść bardzo chętnie, uważając, że jej się to należy, jeśli ten jednak o coś podobnego do niej zaapelował, mógł być z góry pewny odmowy. Nauzycieli wiejskiego uważał chłop także za szkodnika społecznego, gdyż dzięki jemu musiał w starostwie płacić kary za nieposyłanie dzieci do szkoły, wychodził zaś z zasady, iż większa korzyść z tego, jeśli syn lub córka pasie gęsi, niż kilka godzin dziennie bezużytecznie spędzonych w szkole. Jedną jedyną osobą cieszącą się na wsi jakiem takim zaufaniem był ksiądz, ale znaliżli się już tacy, którzy się o to postarali, aby ją utracił, gdyż leżało to w ich interesie, aby chłopca zupełnie odosobnić, aby tem łatwiej mógł się dostać w ich ręce.

O sympatii, jaką wieśniak czuł do karczmarza Mośka lub Szmulia, lepiej nie wspominać. Byli oni jego powiernikami, przyjaciółmi, doradcami, „wygodzili” mu chętnie na dobry procent, w rezultacie jednak Mośka i Szmul obejmowali w posiadanie ich gospodarstwa, a Wojtek lub Kaba godzili się potem do nich na parobków.

W surdatowcu widział zawsze wieśniak awojego wroga, nigdy mu nie dowierzał i posadzał go zawsze o chęć szkodzenia sobie, a dziwną losn koleją sam zarzucił swój dawny strój wieśniacki tak malowniczy i sympatyczny, przebijając się w kupioną w mieście tandetę i zmieniając się tem samem także na surdatowca.

Ta stosunki, jakie panowały na wsi, pogorszyły się jeszcze bardziej dzięki wojnie i jej następstwom. W chłopie wmówiono, że przyszłość do niego należy, a on to tak zrozumiał, iż wszyscy muszą tak tańczyć, jak on im zagra. Polityka ludowa opiera się dziś na zasadzie schlebienia chłopu i nawoływania go, aby pilnie strzegł swych interesów, z zasady pomija się jednak milczeniem, że powinien też gorliwie spełniać swe obywatelskie obowiązki. A ten postępujący swym doradcom, czyli, jak mu kazano. I dlatego to mimowoli przychodzi na myśl słowa poety: „rękę karaj, nie ślepy mlecz”. Ta ręka, która tym mleczem kleruje jak gdyby starała się o to, aby u nas nie było nigdy ludu ni zgoły i widocznie nie zdaje sobie sprawy, że samochęć godzi nim w serce własnego narodu. Lud nasz nie jest na tyle zły, ile mało uświadomiony, zbyt więc ufa fałszywym prorokom, którzy, dobrze go znając, z łatwością znajdują drogę do niego i do jego przekonania.

Powiedziano ongi o Polacu: „pawiem narodów bytaś i papuga”, a autor tych słów ani się może spodziewał, że tak szerokie znajia w obecnych czasach zastosowanie. Papuga naśladuje głosy innych i paple bez ustanku, co jednak wielkiej szkody nikomu nie wyrządza, paw natomiast drze się w niebogłosy, że dużo, korzyści zeń żadnej niema, pióra jego, jak twierdzą starsi, wprowadzają nieszczęście i chorobę na tych, którzy je posiadają. U nas, jak na nieszczęście, po wojnie „zapawilo się”, tak, iż ciży bolą od tej pstrokaelziny, a pożytek z niej żaden. Każdy „paw” chodzi jak nadęty, drze się głośno, ale myśli tylko o sobie. Ani mu te w głowie, czy ogół odniesie z tego jaki pożytek, grant, aby jemu było dobrze i lśnity na nim piękne piórka.

Słabą ilustracją tego, jak lud dziś się z niczem nie liczy, a chciałby, aby do niego wszystko się dostosowało, jest wypadek napozór drobny, jaki się wydarzył w tych czasach w Wieliczce. Przed niespełna dwoma tygodniami przybył tam z Krakowa ks. biskup Nowak celem dokonania poświęcenia szkoły i ochronki. Powozowi ks. Biskupa towarzyszyła z dworca kolejowego do miasta banderya konna, złożona z okolicznych wieśniaków, druga miała go z powrotem na dworzec odprowadzić. Gdy ks. Biskup zwrócił się do członków banderyi z podziękowaniem za przyjemność jaką mu sprawili i udzielił im błogosławieństwa, z szeregu odezwały się głosy: „A gdzie na piwo?...” Pytanie to pozostało na razie bez odpowiedzi, po chwili przysłał ks. Biskup „spragnionym” przez jednego z księży tyśiąc marek, które akwapliwie objęli zaraz w posiadanie. Widząc, że się tak udało, zaczęli coraz głośniej wyrażać swe niezadowolenie, że „te mało”, a słowa ich doszły nawet do uszu ks. Biskupa bawiącego w budynku. Zrzekł się też tego „zaszczytu”, aby banderya miała go z powrotem na dworzec odprowadzić. Fakt ten wywołał w Wieliczce ogólne oburzenie ludności, poczęli kmiotkowie nie stracić przecieć dobrej miny, nie sobie z tego nie robiąc, jak gdyby chcieli dać do poznania, że Polska jest chłopską a przyszłość do nich należy.

Niechaj kto jednak nie posadził kronikarza, że odmawia ludowi praw, jakie mu się słusznie należą. Przeciwnie, radby on był bardzo, aby wieśniactwo w całej pełni korzystało z praw obywatelskich, jednakże nie w myśl dotychczas głoszonych zasad polityki ludowej, odgraniczającej chłopu polskiego jakimś chłopskim murem od reszty społeczeństwa, lecz na zasadzie uczciwej i zgodnej współpracy. Prowodyrowis ruchu ludowego niech nie zapominają o tem, że i pod surdatem bije równie gorąco polskie serce jak i pod siermięgą, boć przecieć większość ich także nosi surdaty. O ile polityka ludowa walczyła na te tory, że nasz wieśniak zrozumie narazie, że tylko wspólnymi siłami możemy sobie zapewnić lepszą przyszłość, i pozbyć się tej nieuzasadnionej nieufności wobec surdatowców, jakiej na każdym kroku daje dowody, kronikarz będzie pierwszym z tych, którzy ten program przyjmą za swój i to nie żądając w zamian dla siebie ani mandatu poselskiego, ani żadnej synekury przy wielkim ołtarzu warszawskim.

